

BIERNI
LIDERZY LEWICY

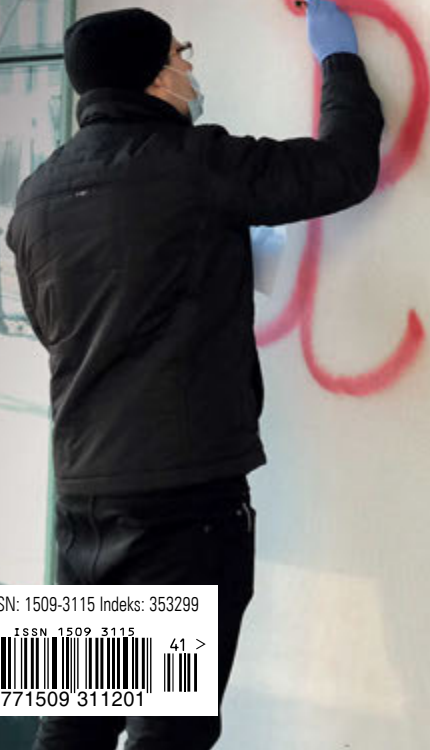
DR KAROLINA MESSYASZ
NASTOLATEK CHCE BYĆ YOUTUBEREM

ALEKSANDRA SZARŁAT
SPATIF – AZYL DLA ARTYSTÓW

FRANCISZEK PIECZKA
GÓRNIK Z PASTORAŁEM

Rządy prezesa Nawrockiego

IPN od kłamstwa do kłamstwa



GŁÓWNA KOMISJA
ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO
NARODOWI POLSKIEMU

ODDZIAŁOWA KOMISJA
ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO
NARODOWI POLSKIEMU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201

STODOLA more than just music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!



EDYTA GEPPERT

6 LISTOPADA 2022



ANIA DĄBROWSKA

20 LISTOPADA 2022



LUXTORPEDA

25 LISTOPADA 2022



RAZ, DWA, TRZY

7 GRUDNIA 2022



MARIA PESZEK

4 GRUDNIA 2022



BASIA TRZETRZELEWSKA

20 STYCZNIA 2023

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

@KLUB.STODOLA

@KLUB.STODOLA



Prezydent tylko teoretyczny

„Żeby tylko wstydu nie było”, miał powiedzieć prezes Kaczyński, gdy przed wyborami prezydenckimi w 2015 r. PiS rozglądało się za swoim kandydatem. Tłumu chętnych nie było, bo pozycja Bronisława Komorowskiego wydawała się niepodważalna. Stało się jednak inaczej! Na skutek postawy liderów PO i słabości sztabu Komorowskiego wygrał Andrzej Duda. I wstydzić się za jego czyny, gesty i słowa trzeba już siódmy rok. Tak oto prezydentura Dudy przebiega. Od wstydu do wstydu.

Ludzie do tego stanu tak się przyzwyczaili, że prawie nikt już nie oczekuje, by prezydent wypełniał swoje obowiązki na serio. A nie był wyłącznie postuszną marionetką. Zależną w każdej sprawie od woli prezesa Kaczyńskiego.

Zwierzchnictwo Dudy nad armią jest tylko teoretyczne. Sprawy armii to dla niego głównie przemawianie w czasie świąt narodowych, parad i festynów. I przyjmowanie defilad. A reszta? Choćby to, co PiS, za jego wiedzą, zrobiło w czasie rządów Macierewicza w MON z kadrą dowódczą. Tą, która przeszła wielostopniową weryfikację w strukturach NATO. Ekipa Macierewicza wycięła wszystkich, którzy mieli tam dobrą opinię. Prezydent nie reagował. Przyglądał się temu szaleństwu kadrowemu. Elitę wojskowych poodsyłało do rezerwy.

Bo nie chcieli trzaskać obcasami przed Macierewiczem i jego pomocnikiem Misiewiczem. Na oczach prezydenta ta ekipa zaorywała zbrojeniówkę. Skutecznie. Obraz kataklizmu, jaki zostawił po sobie Macierewicz w wojsku i zbrojeniówce, powinien wystarczyć, by zajęła się nim prokuratura. Nic z tego. Doczekał się Orła Białego. Prezydentowi nie drgnęła ręka, gdy przyznawał mu najwyższe polskie odznaczenie. Odwołanemu z funkcji ministra obrony, bo Amerykanie zażądali. A gdyby tego nie zrobili, prezydent dalej by udawał, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. I chwalił polityka faszersującego Polaków bredniami o zamachu smoleńskim.

Dudzie została jeszcze publikacja aneksu do raportu o likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, który przygotował Macierewicz, a którego żaden z kolejnych prezydentów nie zdecydował się opublikować. Duda też czeka na decyzję szefa. Gdyby nie reportaż w TVN 24 demaskujący prymitywne manipulacje i oszustwa smoleńskie Macierewicza, pewno nie byłoby odznaczenia.

Za co więc ten order? Za kłamstwa, sianie nienawiści, za krzywdę rodzin ofiar katastrofy?

Tego hucpiarstwa wielu Polaków nie wybaczy Dudzie ani jego politycznym mocodawcom. Żalona to była uroczystość. I żalony jest ten kawaler orderu.

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (3/2022)

„Troje na jednego” z Jerzym Urbanem
Rozmawiają Bożena Przyłuska,
Paweł Sękowski i Robert Walenciak



9 zł

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeklad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Od Kieresa do Nawrockiego**
Miliardy na IPN
- 14 Czy Czarasty chce łąpać wyborców, czy Tuska za nogi?**
Dylemat lewicy
- 16 Lekowa zapaść**
W ogniu wyścigu farmaceutycznego
- 19 20 lat procesu i końca nie widać**
Co przeszkadza sędziemu
- 20 Czarna księga niewiedzy**
Ofiary przemocy domowej
- 22 Nie ma cię w sieci, to nie ma cię wcale**
– rozmowa z dr Karoliną Messyasz
- 26 Wyrzućcie Anię z Zielonego Wzgórza!**
Promocja życia w ciemnogrodzie
- 48 Lokalsi – przypadek Radomska**
W samorządzie się nie narobisz
- 51 33. edycja Nagrody im. Zygmunta Glogera**

ZAGRANICA

- 28 Bez młodych na roli**
Coraz mniej rodzinnych gospodarstw
- 32 Turcja nowym centrum handlu kokainą**
Rekordowy przemysł

HISTORIA

- 34 Potrójna kłeska**
Upadek powstania warszawskiego

WOJSKO

- 38 Modlitwa o deszcz i błoto**
Reguły wojny

KULTURA

- 40 Górnik z pastorałem w dłoni**
Franciszek Pieczka 1928-2022
- 43 Culturalia**
- 44 Jedyne takie miejsce w Warszawie**
– rozmowa z Aleksandrą Szarłat
- 66 Dominik Jasiński. Dom pierwszy**

SPORT

- 52 Bóle głowy przed Katarem**
Jak zagra Lewandowski

EKOLOGIA

- 55 Wołanie na Puszczy Bydgoskiej**
Drogowcy kontra aktywiści

ZWIERZĘTA

- 58 Polowanie na łosia**
Przyroda bez sentymentów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Prezydent tylko teoretyczny
- 25 Jan Widacki**
Pierogi solidarności
- 31 Roman Kurkiewicz**
Potężne, niewidzialne potwory
- 37 Tomasz Jastrun**
Co to jest poezja
- 47 Wojciech Kuczok**
Chamstwo nadzwyczajne



22

KRAJ

NIE MA CIĘ W SIECI, TO NIE MA CIĘ WCALE

– rozmowa
z dr Karoliną Messyasz



44

KULTURA

JEDYNE TAKIE MIEJSCE W WARSZAWIE

– rozmowa z Aleksandrą Szarłat



58

ZWIERZĘTA

POLOWANIE NA ŁOSIA

Przyroda bez sentymentów

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA





f Bydgoska bomba tyka

Cały czas zastanawiam się, czym się różni teren po elektrowni atomowej w Czarnobylu od terenu obecnego parku przemysłowego po byłym Zachemie i niemieckiej fabryce Dynamit AG Fabrik Bromberg, wykorzystującej niewolniczą pracę Polaków, którzy stracili tam życie i zdrowie, nie otrzymując od Niemców rekompensaty. Wokół DAG było kilkanaście obozów dla pracowników przymusowych, jeńców, przy ulicy Hutniczej była też filia obozu koncentracyjnego Stutthof.

Ostatni dwaj truciele przyczynili się do skażenia tego terenu nie jednym wybuchem, lecz latami produkcji. Dlaczego ich zyski nie mogą być przeznaczone na rekultywację zatrutych gruntów? Dlaczego świat, Europa zajmują się skażeniem Czarnobyla, a nie Zachemu? Może dlatego, że Czarnobyl jest daleko, a Bydgoszcz za blisko? Bydgoskie skażenie terenu może skutkować konsekwencjami nie tylko dla Polski, ale i dla Europy.

Marek Grabowicz



f Co z konkordatem?

W konsekwencji konkordatu mamy dziś 10 214 parafii, w których żyje ponad stan 28 546 księży (oprócz 180 zakonnic), a dodatkowo 32 000 zakonników. Sponsoruje ich każdy Polak, nie tylko dając na tacę, ale i poprzez państwo – łożąc na utrzymanie osób, które nie przynoszą dochodu narodowego. Masa księży „pracuje”, siedząc w policji i wojsku, i zarabia na wysokie emerytury.

Władek Kosek

Przed konkordatem była jeszcze późnopeerelowska ustawa z maja 1989 r. o stosunku państwa do Kościoła rzymskokatolickiego, która zafundowała Kościołowi chyba jeszcze większe przywileje niż sam konkordat (m.in. rozwiązana już Komisję Majątkową).

Paweł Woźniak

Może być za późno na rozwód. Już nie rozszczenia terytorialne, lecz religijne animozje mogą być pretekstem do interwencji z zewnątrz. A my jesteśmy takim punktem zapalnym na własne życzenie.

Ryszard Jędrzejewski

Moim zdaniem nigdy nie jest za późno na rozwód. Im wcześniej, tym lepiej, mniej szkód, a czas leci...

Małgorzata Markiewicz

f Od ściany do ściany — „dekomunizacja” Świerczewskiego

Dzisiaj wielu mówi o Świerczewskim, że dobrze mu tak, bo w 1920 r. walczył przeciw Polsce, dobrze, bo był złym dowódcą, dobrze, bo był alkoholikiem, dobrze, bo to był kumach.

Szanowni komentatorzy, on nie został zabity dlatego, że walczył ponad ćwierć wieku wcześniej po stronie bolszewickiej, nie został zabity z powodu orientacji politycznej czy choroby alkoholowej. On został zabity, bo był Polakiem. Banderowcy tak traktowali każdego Polaka w polskim mundurze.

Przy trumnie wystawionej w Centralnym Domu Żołnierza egzekwie odprawiał dziekan generalny Wojska Polskiego ks. płk Stanisław Warchałowski. Świerczewski został pochowany 1 kwietnia 1947 r. w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Łukasz Marcin Jastrzębski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Przy Szpitalu Specjalistycznym im. Stefana Żeromskiego w Nowej Hucie jest teraz skwer im. Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Uroczystość nadania nazwy odbyła się 29 września 2022 r.

17,2% wyniosła inflacja we wrześniu (GUS).

Niekwestionowanym zwycięzcą wojny na Ukrainie jest waluta amerykańska. Dolar zyskał wobec niemal wszystkich walut świata. W ciągu roku umocnił się wobec euro o 18%. Polacy płacą **5 zł za dolara i 5 zł za franka** szwajcarskiego.

Uruchomiono **gazociąg Baltic Pipe**, który poprzez Danię łączy Polskę ze złożami w Norwegii. Umowę podpisało PGNiG za rządów premiera Buzka w 2001 r., po czym zawieszano ją, aż do rządów PiS, które ten projekt realizowało.

Polacy nie za bardzo chcą się szczepić przeciw COVID-19, w efekcie czego zutilizowano 788 tys. dawek, 11 mln szczepionek podarowano takim państwom jak Armenia, Bangladesz, Bośnia i Hercegowina oraz Ukraina. 15 mln dawek odsprzedano.

Pierwszy raz w historii przetestowano możliwość wpływania przez ludzi na trajektorię lotu asteroidy. **Sonda DART** uderzyła w asteroidę Dimorphos (średnica 160 m, masa 5 mln ton, odległość od Ziemi 11 mln km). Czekamy na efekty.

Biskup świdnicki Ignacy Dec, który oskarżał ks. Krzysztofa Trybulca o nadużycia finansowe i obyczajowe, po czym odwołał go z posady proboszcza w Szalejowie Górnym, przegrał proces i musiał mu wypłacić 10 tys. zł zadośćuczynienia. Z przeprosinami na piśmie czekał rok. Ale zrobił to, z zastrzeżeniem, że list nie może być publikowany („Nie”).

Jazda bez prawa jazdy kosztuje **Piotra Kraśkę** z „wolnych mediów”, czyli amerykańskiej TVN, 100 tys. zł grzywny.

A niepłacenie podatków jeszcze więcej. Odbije sobie w firmie, do której pasuje jak ulał.

Elon Musk ogłosił, że 33% użytkowników Twittera to nieprawdziwe konta generowane przez boty.

Polska Press, którą przejął Orlen, zamknęła rok 2021 stratą netto w wysokości ponad 30 mln zł. Ale pensje zarządu i szefów gazet poszybowały jak skowronki.

Otwarta w 1992 r. **SOS Wioska Dziecięca w Kraśniku** pomogła 309 dzieciom z pieczy zastępczej, z których 245 prowadzi już samodzielne życie.

85% polskich małoletnich gra w gry wideo, w tym 60% codziennie. Co trzeci wydaje kieszonkowe na zakup gier. W Polsce rynek gier wart jest ponad 2,5 mld zł.

Centralny Port Komunikacyjny w Baranowie jest coraz droższy. Pełnomocnik rządu mówi o 55 mld euro, a eksperci, że wraz z infrastrukturą drogową pochłonie 500 mld zł. Wywłaszczenia mają dotknąć ponad 20 tys. osób.

Najbardziej zadowoleni z życia w swoim mieście są mieszkańcy Gdyni, Gdańska, Zielonej Góry, Tychów i Bielska-Białej. A najmniej ci, którzy mieszkają w Częstochowie, Kaliszu, Rudzie Śląskiej i Nowym Sączu (**raport Otodom i ThinkCo**).

Statystyczny Polak zjada rocznie 5,6 kg słodczy czekoladowych. Więcej jedzą tylko w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Bułgarii.

Najdroższą przyprawą na świecie jest szafran. Szacowany koszt kilograma wynosi średnio ok. 20 tys. zł.

PRZEBŁYSKI

Z indeksem od podstawówki

A to się porobiło! Gdzie? W dalekiej diecezji drohiczyńskiej. Tamtejszy biskup Piotr Sawczuk zatęsknił za studenckimi czasami. I to tak, że chce obdarować indeksami działwę szkolną.

„Mając na uwadze dobro wychowania katolickiego (I Synod Diecezji Drohiczyńskiej, art. 14-17), (...) niniejszym dekretem wprowadzam na terenie Diecezji Drohiczyńskiej INDEKS UCZESTNIKA LEKCJI RELIGII. (...) Będzie obowiązywał uczniów w szkołach podstawowych w klasach VII-VIII oraz we wszystkich klasach szkół ponadpodstawowych od pierwszego semestru roku szkolnego 2022/2023”. Przy okazji zarobi kościelne wydawnictwo. A wpisami do indeksu będzie można dyscyplinować rozbrykane owieczki.



Sadowy i Deszczyca o mordzie (smoleńskim)

Mieliśmy wrażenie, że kancelaria prezydenta Dudy z jakichś powodów nie zaprosiła na wręczenie Orła Białego ludzi, którzy aktywnie wspierają wersję Antoniego Macierewicza o mordzie smoleńskim. Faux pas nadrobiła TVP Info, przypominając słowa mera Lwowa Andrija Sadowego i byłego ambasadora Ukrainy w Polsce Andrija Deszczyca. Może nie chcieli naraz trzech Andrzejów? Wszak i prezydent Andrzej. A szkoda, bo Sadowy i Deszczyca mają w sprawie katastrofy pod Smoleńskiem identyczny pogląd jak Macierewicz. Znają też sprawcę. Sadowy mówił przecież, że „na 100% jestem przekonany, że za tym stali bezpośrednio Rosjanie i Putin” (Wirtualna Polska). Może by im za tę wiedzę również dać jakiś order?



Mazurski stan wojenny

Było już ostro, ale teraz jest prawdziwa nawalanka. I płeć nie ma tu znaczenia. O fotel szefa PiS w regionie warmińsko-mazurskim posłanka Iwona Arent (PiS) walczyła z posłem Jerzym Szmitem (PiS).

W partyjnej dintojrze obecnie górą jest Arent. Na razie, bo nominację dostała tylko na trzy miesiące. Czuje się mocna z poparciem Adama Lipińskiego i Marka Suskiego. Ale Szmit też ma silnego protektora, Joachima Brudzińskiego. A nad nimi jest jeszcze Mariusz Błaszczak, opiekun województwa wyznaczony przez prezesa K. Wojna będzie długa i krwawa.

Knucie w Dzień Dziecka

W świecie normalsów 1 czerwca jest Dzień Dziecka. Głowy zajęte życzeniami i prezentami. Ale nie wszystkie. Z przeciekającej skrzynki mejlowej Michała Dworczyka wiemy, że 1 czerwca 2020 r. zamiast dziećmi zajmowano się Romanem Giertychem. Na gwałt szukano czegoś, co odciągnie uwagę ludzi od megaafery z maseczkami. Nad pograżeniem Giertycha oprócz Dworczyka radzili Paweł Jabłoński (ma proces z PRZEGLĄDEM), Janusz Cieszyński (ten od maseczek) i prawnik Marcin Wawrzyniak. Ten ostatni, były radny PiS w Warszawie, zainteresował nas, bo ma dość egzotyczne funkcje: kanclerz Chorągwi św. Krzyża Zakonu Rycerzy Jana Pawła II i prezes fundacji Sursum Corda. Piszemy egzotyczne, bo ani św. Krzyż, ani święty papież nie przeszkodzili Wawrzyniakowi w knuciu z rządem.





PYTANIE TYGODNIA

Czy państwowy bank rolny uratuje polską wieś?

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK,
rolnik, założyciel Agrounii

Powinno powstać bank, który wspierałby inwestycje związane z rolnictwem i produkcją żywności, będącymi filarami naszego kraju. Co więcej, taki bank powinien działać na zasadach spółdzielczych, dzięki czemu społeczeństwo byłoby w większym stopniu jego właścicielem niż jedynie za pośrednictwem państwa. Szczególnie istotne jest w tej chwili dobre finansowanie zakupu ziemi. Bardzo dużo gruntów jest obecnie na sprzedaż i dzięki wsparciu takiego banku można by zadbać, by trafiły one w ręce nie korporacji, tylko sąsiadów – rolników prowadzących gospodarstwa rodzinne.

PROF. STANISŁAW FLEJTERSKI,
*Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu
Wydział Ekonomiczny w Szczecinie*

Mojej generacji kojarzy się to z prezesem Nikodemem Dyzmą i Państwowym Bankiem Zbożowym z powieści i filmu. Jednak na serio, jak przystało

na poważne pytanie zadane w czasach nadzwyczajnych turbulencji kryzysowych i radykalnej niepewności, również na wsi, pomysł tworzenia jeszcze jednego banku, i to państwowego, zaliczam do tych akademickich ze sfery *wishful thinking*. Mój sceptycyzm wynika z tego, że tzw. architektura sektora bankowego, w tym liczba banków w Polsce, wydaje się wystarczająca, co dotyczy również banków z udziałem państwa. Idea państwa przedsiębiorczego jest inspirująca, jednak chodzi głównie o funkcję regulacyjną, a nie właścicielską. Rynek nie jest w pełni efektywny, jednak jeszcze bardziej ułomne, zbiurokratyzowane, kosztowne i mało wiarygodne bywa państwo, z naszym włącznie.

PROF. JACEK KULAWIK,
*Instytut Ekonomiki Rolnictwa
i Gospodarki Żywnościowej*

Cała masa banków, m.in. spółdzielczych, ma w ofercie kredyty preferencyjne dla rolników. Te instytucje mają

odpowiednie kompetencje w tym zakresie, radzą sobie nie najgorzej, a rolnicy je znają. Nie wszystko musi być państwowe czy narodowe. Wręcz przeciwnie, widzę potrzebę odwrótu od upaństwowiania kolejnych sfer gospodarki. Prowadzi ono do monopolizacji, której skutki możemy obserwować choćby na przykładzie niebotycznych podwyżek cen energii.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Niestety, od czasów, gdy zniszczono PGR bez możliwości utworzenia z nich spółdzielni rolniczych, a ludzi doprowadzono do wielopokoleniowej biedy, nic nie jest w stanie uratować obszarów wiejskich bez centralnej restrukturyzacji ich modelu i funkcjonowania. Sytuację ratują dopłaty z UE, lecz to tylko doraźne łatanie dziury. Pytanie powinno brzmieć: której grupie społecznej zabiorą fundusze, żeby stworzyć i prowadzić taki bank, i czy będzie łupił rolników tak jak komercyjne banki łupią swoich kredytobiorców.

Od Kieresa do Nawrockiego

W ciągu 22 lat państwo wydało na Instytut Pamięci Narodowej kilka miliardów złotych. Za obecnych rządów już 2,5 mld zł

Paweł Siergiejczyk

W grudniu 2010 r. odbyła się w Łodzi konferencja „Bez taryfy ulgowej. Dorobek naukowy i edukacyjny Instytutu Pamięci Narodowej 2000-2010”. To trzydniowe spotkanie, zorganizowane przez historyków z Uniwersytetu Łódzkiego i tamtejszy oddział IPN, było pierwszą próbą podsumowania działalności instytutu przez środowisko historyków. Pierwszą – ale też niestety ostatnią, bo trudno dziś sobie wyobrazić rzetelną, uczciwą dyskusję pomiędzy pracownikami IPN a ich krytykami ze środowisk

opisać losy instytutu poprzez postacie kolejnych prezesów.

LEON KIERES – wojna lustracyjna

Warto jednak zacząć od ustawy, której autorami było aż dwóch profesorów prawa – Andrzej Rzepliński i Witold Kulesza – oraz tylko jeden profesor historii – Andrzej Paczkowski. Paradoksalnie żaden z nich nie był związany z antykomunistyczną prawicą, triumfującą pod sztandarem Akcji Wyborczej Solidarność w wyborach parlamentarnych w 1997 r., ale to właśnie solidarnościowa prawica przeforsowała w parlamencie ustawę o IPN. Tyle

A gdy ustawa została ostatecznie przyjęta, AWS przystąpiła do wyboru prezesa. Miał nim zostać znany krakowski historyk, prof. Andrzej Chwalba, którego dorobku i rzetelności badawczej nigdy nie kwestionowano. Zakwestionowano natomiast jego antykomunistyczną „nieskazitelną”, gdy okazało się, że Chwalba nie ujawnił w swoim życiorysie przynależności do PZPR w latach 1977-1981. W tym momencie nie liczyły się już pozycja naukowa uczonego ani jego zaangażowanie w podziemnej Solidarności po 13 grudnia 1981 r. IPN stracił szansę na to, by jego pierwszym szefem został jeden z najlepszych polskich historyków – ale przecież chodziło o pokazanie, że dogmatem instytutu ma być antykomunizm, czyli radykalne odrzucenie i potępienie PRL.

Dopiero kilka miesięcy po rezygnacji Andrzeja Chwalby znalazł się kolejny kandydat na prezesa, prof. Leon Kieres. Wybrany przez Sejm w czerwcu 2000 r., czyli w momencie, gdy koalicja rządowa AWS-UW dożywała swoich dni, był wrocławskim prawnikiem (specjalizującym się w administracyjnym prawie gospodarczym) i zarazem senatorem związanym z Unią Wolności. Najbardziej konsekwentny krytyk IPN w tej partii, prof. Andrzej Romanowski, napisał wtedy w „Tygodniku Powszechnym”, że prof. Kieres „jest zaśluzonym, uczciwym człowikiem. Szkoda go do tej roboty”.

Czy Romanowski powtórzyłby opinię o pierwszym prezesa IPN pięć lat później, gdy kończyła się jego kadencja? Fakt, Kieres miał sytuację bardzo trudną – musiał stworzyć od podstaw instytucję monstrum, łączącą zadania archiwum dawnej

Wojna lustracyjna pod rządami Leona Kieresa zdyskredytowała elity współtworzące III RP, zniszczyła siłę polityczną lewicy i uczyniła z PiS najważniejszą partię w Polsce.

akademickich. Taka dyskusja była możliwa 11 lat temu, gdy w IPN zapanowała swoista odwilż i jego władze dopuszczały krytyczne uwagi na temat swoich działań. Po tamtej atmosferze nie ma już śladu, a sam IPN – podobnie jak wszystkie inne instytucje państwowe opanowane przez PiS – reprezentuje „jedynie słuszną linię” polityki historycznej.

Z Instytutem Pamięci Narodowej żyjemy już ponad dwie dekady, czyli większą część okresu III Rzeczypospolitej. To wystarczająco długo, by opisać jego historię, dzielącą się na etapy, ściśle związane z etapami historii politycznej III RP. A ponieważ IPN jest instytucją skrajnie scentralizowaną, w której wszystko i wszyscy podlegają prezesowi, najlepiej

że samodzielnie nie była w stanie odrzucić weta prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. A jednak weto zostało odrzucone – w pamiętnym głosowaniu 18 grudnia 1998 r., gdy AWS poparły kluby Unii Wolności i PSL. Z całego klubu UW nie głosowało siedmioro posłów (w tym Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Janusz Onyszkiewicz i Grażyna Staniszevska), a z klubu PSL zaledwie trzech (w tym Waldemar Pawlak). Ceną za to poparcie były miejsca dla przedstawicieli obu środowisk w Kolegium IPN, czyli „radzie nadzorczej”, która m.in. wyłania kandydata na prezesa instytutu. Konsekwentnie przeciwna powołaniu IPN pozostała wyłącznie lewica – i tylko ona nigdy nie będzie miała wpływu na kierowanie tą instytucją.



Prezes Karol Nawrocki spotkał się z uczestnikami XIV Ogólnopolskiej Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę zorganizowanej przez ks. Jarosława Wąsowicza. 8 stycznia 2022 r.

bezpieki z prokuraturą, instytutem naukowym i placówką edukacyjną zajmującą się dziejami Polski w latach 1939-1989. Wywiązywał się z tego zadania, jak potrafił, ale nie został zapamiętany jako dobry organizator. Świadczyła o tym sprawa tzw. listy Wildsteina, czyli wewnętrznego katalogu teczek personalnych zgromadzonych w archiwum IPN, który został wyniesiony i umieszczony w internecie przez prawicowego dziennikarza Bronisława Wildsteina. Na efekty nie trzeba było długo czekać, przez pierwsze miesiące 2005 r. cała Polska żyła „dziką lustracją” – samosądów za pomocą owej listy dokonywano zarówno na osobach znanych publicznie, jak i na przygodnych znajomych, sąsiadach, krewnych. Żeby zostać oskarżonym o bycie agentem SB, wystarczyło nosić imię i nazwisko, które znajdowało się na owej liście (mającej prawie 200 tys. pozycji). Na niewiele się zdały wyjaśnienia,

że w katalogu wymieszano nazwiska funkcjonariuszy, tajnych współpracowników i kandydatów na tajnych współpracowników peerelowskich służb specjalnych. IPN musiał zacząć wydawać specjalne zaświadczenia – swoiste świadectwa moralności, które stały się jedynym sposobem obrony osób pomówionych.

Kult „wyklętych” narzucony IPN przez Janusza Kurtykę zepchnął w cień pamięć o Armii Krajowej i powstaniu warszawskim.

W ten sposób instytucja kierowana przez Leona Kieresa chcąc nie chcąc przyczyniła się do trzeciej wojny lustracyjnej (pierwszą rozpętał minister Antoni Macierewicz w czerwcu 1992 r., drugą zaś prowadził rzecznik interesu publicznego Bogusław Nizieński w latach 1999-2004). Ta wojna miała się toczyć przez następne lata i stanowić rodzaj prawicowej rewolucji moralnej, która

zdyskredytowała elity współtworzące III RP – zarówno polityczne, jak i kulturalne, naukowe, gospodarcze, a nawet kościelne – zniszczyła siłę polityczną lewicy i uczyniła z PiS najważniejszą partię w Polsce.

Sam Kieres przyłożył rękę do wywołania tej wojny. Kilka tygodni po śmierci Jana Pawła II publicznie ogłosił, że w otoczeniu papieża był informator wywiadu PRL – o. Konrad Hejmo, dominikanin od wielu lat pracujący w Watykanie. I chociaż znający o. Hejmę i ówczesne uwarunkowania czotłowi polscy dominikanie podważali rzetelność tego oskarżenia, stało się to, co zawsze dzieje się w takich sytuacjach: wybuch medialna bomba, człowiek zostaje napiętnowany, traci pozycję w życiu publicznym, a po jakimś czasie sprawa przysycha i nikogo już nie interesuje jej wyjaśnienie, bo na horyzoncie pojawia się kolejna...

JANUSZ KURTYKA

– kult „żołnierzy wyklętych”

Fala publicznych oskarżeń (za pomocą coraz liczniejszych mediów, które w drugiej połowie pierwszej dekady naszego wieku łapczywie rzuciły się na tematy „lustracyjne”) rozlała się szeroko za rządów kolejnego prezesa IPN, Janusza Kurtyki, który zastąpił Kieresa pod koniec 2005 r., już po wyborach parlamentarnych wygranych przez dwie partie postsolidarnościowe – PiS i PO. Przez długi czas wydawało się, że stworzą one wspólny rząd, ale z nim stało się jasne, że tak nie będzie,

obie zdążyły wybrać w Sejmie krakowskiego historyka, którego rekomendował niedoszły „premier z Krakowa” Jan Rokita. Obaj należeli do „pokolenia NZS” – współzałożycieli tej studenckiej organizacji, której działalność przerwało wprowadzenie stanu wojennego. W tym właśnie pokoleniu radykalny antykomunizm okazał się szczególnie mocny i wywarł decydujący wpływ

► na linię ideologiczną IPN pod kierownictwem Kurtyki. On sam, choć należał do wybitnych badaczy polskiego średniowiecza, narzucił instytucji nowy priorytet programowy – kult „żołnierzy wyklętych”, którymi interesował się od lat 80. Co prawda, wtedy jeszcze nie używano tej kuriozalnej nazwy (rozpropagowanej w latach 90. przez Ligę Republikańską pod wodzą Mariusza Kamińskiego), a i wydana w 2007 r. przez IPN monumentalna publikacja nosiła tytuł „Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956”, ale to w czasach prezesa Kurtyki (i prezydenta Lecha Kaczyńskiego) kult „żołnierzy wyklętych” uzyskał rangę państwową, psychając w cień nawet pamięć o Armii Krajowej i powstaniu warszawskim.

Miało to związek z pierwszą falą przetasowań personalnych w IPN. Janusz Kurtyka stopniowo pozbywał się najzdolniejszych historyków młodego pokolenia, urodzonych w drugiej połowie lat 60., którzy zrobili błyskotliwą karierę w czasach Kieresa. W tej

Miejsce wspomnianej grupy historyków zajęli ludzie zwykle o kilka czy kilkanaście lat młodszy, a przy tym zupełnie inaczej ukształtowani. O ile generacja Machcewicza i Wnuka to wychowankowie prof. Marcina Kuli czy prof. Tomasza Strzembosza, o tyle ich następcy w IPN są uczniami historyków o zdecydowanie prawicowych poglądach: prof. Tomasza Witucha, prof. Tomasza Panfila czy prof. Jana Żaryna. Zwłaszcza rola tego ostatniego okazała się kluczowa, ponieważ u boku prezesa Kurtyki Żaryn był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN. Nastąpiło wówczas radykalne przesunięcie linii programowej instytutu na prawo, w stronę skrajnego antykomunizmu Narodowych Sił Zbrojnych, łącznie z kultem Brygady Świętokrzyskiej – jedynej polskiej jednostki kolaborującej w czasie wojny z Niemcami. Nic dziwnego, że zmieniła się też narracja IPN w takich kwestiach jak stosunki polsko-żydowskie (obowiązująca stała się linia podważająca ustalenia Jana Tomasza Grossa

Autorzy nie ukrywali, że podzielają propagowany od czerwca 1992 r. przez Antoniego Macierewicza pogląd na rolę Wałęsy jako czołowego obrońcy „układu postkomunistycznego”, co miałyby wynikać z dawnych uwikłań agenturalnych byłego prezydenta. Ta skrajnie tendencyjna w wymowie praca od razu stała się wydawniczym hitem, za którym przed siedzibą IPN ustawiały się kolejki zwolenników agenturalnej wizji historii. Książka odegrała także ważną rolę polityczną, wywołując krytykę IPN ze strony liderów Platformy Obywatelskiej, z premierem Donaldem Tuskiem na czele.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

– kuriozalne śledztwa prokuratorów

Odtąd było już jasne, że Kurtyka nie ma szans na drugą kadencję, a powołane jeszcze za rządów braci Kaczyńskich Kolegium IPN (z udziałem takich osób jak Andrzej Gwiżdża, prezes TVP Andrzej Urbański czy związana z PiS socjolog wsi prof. Barbara Fedyszak-Radziejowska) zostanie wymienione dzięki nowelizacji ustawy przygotowanej przez posła Arkadiusza Rybickiego z PO.

Tragiczny los sprawił, że obaj główni antagoniści tamtego sporu – Kurtyka i Rybicki – zginęli w katastrofie smoleńskiej. W IPN nastał wtedy czas „wielkiej odwilży”; po autorytarnych rządach Kurtyki, który narzucił podwładnym niemal wojskową dyscyplinę, przyszedł prezes tymczasowy, historyk ruchu ludowego Franciszek Gryciuk (do 10 kwietnia 2010 r. był pierwszym wiceprezesem IPN z rekomendacji PSL), a w połowie 2011 r. kierownictwo przejął młody wrocławski historyk Łukasz Kamiński, wybrany w jawnym konkursie przez nowo powołaną radę instytutu. W owej radzie – jedyny raz wyłonionej spośród kandydatów środowiska zawodowych historyków – znalazły się postacie tej rangi, co prof. Andrzej Friszke, prof. Andrzej Paczkowski, prof. Grzegorz Motyka, a nawet prof. Bolesław Orłowski, czołowy polski historyk nauki i techniki. Pierwsze skrzypce w radzie grał zaś prof. Antoni Dudek, niekryjący dystansu wobec radykalnej prawicy.

Za czasów Łukasza Kamińskiego prokuratura IPN oskarżyła gen. Jaruzelskiego i innych członków władz państwowych, którzy zdecydowali o wprowadzeniu stanu wojennego.

grupie znaleźli się m.in. prof. Paweł Machcewicz (dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN), prof. Rafał Wnuk (redaktor wspomnianego „Atlasu”), prof. Grzegorz Motyka (znakomity badacz historii stosunków polsko-ukraińskich) i dr Janusz Marszałec (świetny znawca dziejów wojennej konspiracji i powstania warszawskiego). Niektórzy badacze z tej generacji przetrwali w instytucie dłużej, aż do rządów PiS po 2015 r., gdy dosięgła ich kolejna czystka personalna: dr Krzysztof Persak czy dr Sławomir Poleszak. Ten ostatni, choć należy do czołowych badaczy powojennego podziemia, stracił pracę w lubelskim oddziale IPN po opublikowaniu tekstu omawiającego antyżydowską działalność w czasie wojny Józefa Franczaka „Lalusia”, uchodzącego w ipleenowskiej mitologii za ostatniego „żołnierza wyklętego” (zginął dopiero w 1963 r.).

w sprawie zbrodni w Jedwabnem, choć w czasach Kieresa IPN wydał dwutomową publikację „Wokół Jedwabnego” zasadniczo potwierdzającą główne tezy Grossa) czy dzieje Polski Ludowej, które odtąd miały być prezentowane przez pryzmat radykalnego oporu wobec władzy przy równoczesnym przemilczaniu wszelkich innych postaw Polaków (dlatego mocno wyeksponowano „powstanie poznańskie” z czerwca 1956 r. czy „powstanie grudniowe” z 1970 r., a zupełnie zignorowano np. olbrzymią rolę Października 1956 r.).

Najgłośniejszą publikacją IPN w czasach Janusza Kurtyki był 750-stronicowy tom „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”, przygotowany w 2008 r. przez wicedyrektora Biura Lustracyjnego IPN Piotra Gontarczyka oraz naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Gdańsku Sławomira Cenckiewiczca.



Karol Nawrocki wiele sił poświęca promowaniu „żołnierzy wyklętych”. Nz. podczas odsłonięcia w Lublinie muralu poświęconego Hieronimowi Dekutowskiemu, ps. Zapora. 29 września 2022 r.

Pięć lat rządów tandemu Kamiński-Dudek to niewątpliwie najspokojniejszy okres w dziejach IPN. Rządząca koalicja PO-PSL zupełnie nie interesowała się polityką historyczną, dzięki czemu w instytucie i na jego imprezach naukowych mogli spokojnie koegzystować badacze o różnych poglądach. W tym czasie IPN wydał wiele wartościowych pozycji książkowych, a rola lustracyjna instytutu znacznie zmalała, bo i „gorączka teczkowa” zaczęła wygasać – po prostu zasób sensacyjnych materiałów z archiwum IPN się wyczerpał, więc i dziennikarze prawicowych mediów stracili swoją „krynicę wiedzy” o elitach III RP.

W tych spokojnych latach 2010-2015 nadal jednak działała ipeenowska prokuratura, czyli ten pion instytutu, którego zadaniem miało być ściganie „zbrodni komunistycznych”, przy czym ustawa z 1998 r. rozumie przez to „czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w okresie od 17 września 1939 r. do dnia 31 grudnia 1989 r., polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszenia praw człowieka wobec jednostek lub grup ludności bądź w związku z ich stosowaniem, stanowiące przestępstwa

według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia”. Przy takiej definicji ipeenowscy prokuratorzy zaczęli ścigać nie tylko ostatnich żyjących funkcjonariuszy stalinowskiego Urzędu Bezpieczeństwa, ale też – a z czasem niemal wyłącznie – oficerów Milicji Obywatelskiej oraz innych przedstawicieli organów władzy PRL, którzy uczestniczyli w działaniach związanych ze stanem wojennym (przede wszystkim w internowaniu działaczy

Od lipca 2016 r. IPN kierował dr Jarosław Szarek, prawie bez dorobku naukowego. „Napisał za to wiele książeczek dla dzieci, w których uczy ich bogoojczyźnianej historii Polski”.

Solidarności). Najgłośniejszy zaś akt oskarżenia, z kwietnia 2007 r., dotyczył gen. Wojciecha Jaruzelskiego i innych żyjących jeszcze wówczas członków władz państwowych, którzy podjęli i zatwierdzili decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwszy prezydent III RP został oskarżony o „zbrodnię komunistyczną” polegającą na... kierowaniu „związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym, mającym na celu popełnianie przestępstw”.

To niejedyny przykład kuriozalnej działalności prokuratorów z IPN, zwłaszcza tych z oddziału w Katowicach, gdzie powstał wspomniany akt oskarżenia. Szczególną sławą okryła się tamtejsza prokurator Ewa Koj, która prowadziła śledztwa w takich sprawach jak zamach na Jana Pawła II w 1981 r. czy śmierć gen. Władysława Sikorskiego – w tej ostatniej przeprowadzono nawet ekshumację szczątków generała pochowanych na Wawelu. Rzecz jasna, żadnej nowej wiedzy śledztwa te nie przyniosły (oba zostały po kilku latach umorzone), za to przyniosły pani Koj medialną popularność.

JAROSŁAW SZAREK

– unia kościelno-ipeenowska

Przejęcie władzy przez PiS przyniosło kres „umiarkowanego antykomunizmu” w Instytucie Pamięci Narodowej. Nowy Sejm szybko zmienił ustawę, by już w połowie 2016 r. powołać nowe Kolegium IPN, w którego składzie znaleźli się wyłącznie ludzie związani z prawicą: publicyści Bronisław Wildstein i Krzysztof Wyszowski oraz tacy historycy jak prof. Andrzej Nowak z Krakowa, prof. Wojciech Polak z Torunia czy prof. Sławomir Cenckiewicz. Ten ostatni, pełniąc równocześnie funkcję dyrektora Wojskowego Biura Historycznego (z nominacji ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza), na początku tego roku został

doradcą prezesa IPN ds. naukowych, a jego miejsce w Kolegium IPN zajął związany z Radiem Maryja prof. Mieczysław Ryba z KUL, pisowski radny sejmiku województwa lubelskiego.

Kolegium w takim składzie wybrało już dwóch kolejnych prezesów IPN. Po skróceniu przez parlament kadencji Łukasza Kamińskiego instytutem kierował od lipca 2016 r. dr Jarosław Szarek, którego sylwetkę najlepiej scharakteryzował historyk i socjolog Adam Leszczyński na ▶

► łamach „Gazety Wyborczej”: „Prawie nie ma dorobku naukowego. Napisał za to wiele książeczek dla dzieci, w których uczy ich bogoojczyźnianej historii Polski – zawsze heroicznej, zawsze cierpiącej, zawsze katolickiej i szlacheckiej, bez mniejszości narodowych i chłopów”. To nie dorobek naukowy zdecydował jednak o wyborze prezesa IPN, lecz poparcie szefa klubu parlamentarnego PiS, prof. Ryszarda Terleckiego (który notabene do 2007 r. kierował krakowskim oddziałem instytutu). Terlecki był bowiem promotorem pracy doktorskiej Szarka na temat działalności Służby Bezpieczeństwa wobec młodzieży akademickiej Krakowa w latach 1970-1980, obronionej w tamtejszym Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II zaledwie pięć lat przed objęciem stanowiska prezesa IPN.

Kadencja Szarka upłynęła pod znakiem wyczyszczenia IPN z ludzi niezwiązanych z prawicą oraz antykomunistycznego wzmożenia, przy czym pisowski prezes dołożył do tego mocny akcent klerikalny. Od tej pory duża część działalności naukowej, wydawniczej i edukacyjnej IPN dotyczy „księży i biskupów

Jarosław Sellin i Karol Nawrocki doprowadzili do „polonizacji” wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej.

niezłomnych”, czyli podkreślania rzekomo powszechnego oporu duchowieństwa wobec władz PRL. Wyjątkiem była tu postać zastępowanego dla wrocławskiego podziemia lat 80. kard. Henryka Gulbinowicza, któremu niedługo przed jego śmiercią ipeenowski historyk Rafał Łatka zarzucił wieloletnie „rozmowy operacyjne” z SB, przy okazji ujawniając kompromitujące szczegóły natury obyczajowej. Poza tym „unia kościelno-ipeenowska” trzyma się mocno, a jej symbolem może być mianowanie w styczniu br. dyrektora katowickiego oddziału IPN Andrzeja Sznajdera na urząd zwierzchnika w Polsce Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu Bożego w Jerozolimie (nominacji dokonał wielki przeor zwierzchnictwa tego zakonu w Polsce, kard. Kazimierz Nycz, a wśród członków owego



Kadencja Jarosława Szarka upłynęła pod znakiem wyczyszczenia IPN z ludzi niezwiązanych z prawicą oraz antykomunistycznego wzmożenia.

zgromadzenia warto wymienić arcybiskupów Sławoja Leszka Głódzia, Józefa Kowalczyka, Henryka Muszyńskiego, Damiana Zimonia, ze świeczkich zaś – związaną z Radiem Maryja byłą posłankę Annę Sobecką, byłego senatora PiS Stanisława Koguta czy byłego ministra i prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego).

ale na początku 2021 r. wybuchła medialna bomba, gdy okazało się, że mianowany przez niego dyrektor oddziału IPN we Wrocławiu Tomasz Greniuch (wcześniej pełniący taką samą funkcję w Opolu) jest sympatykiem tradycji Obozu Narodowo-Radykalnego, co potwierdziły jego zdjęcia z manifestacji ONR, podczas których wyciągał rękę w faszystowskim pozdrowieniu. Ostatecznie Greniuch złożył rezygnację, ale cała sprawa i wyraźne niezdecydowanie Szarka pozbawiły prezesa szans na ponowny wybór. I znów wszystko znalazło się w rękach wicemarszałka Terleckiego, a ten dzięki układowi z PSL (w zamian za poparcie kandydata ludowców na rzeczniczkę praw obywatelskich) przeforsował w obu izbach parlamentu kandydaturę nowego szefa IPN.

Został nim młody historyk z Gdańska, Karol Nawrocki, od czterech lat stojący na czele Muzeum II Wojny Światowej. Muzeum, którego twórcami byli historycy z pierwszej ipeenowskiej ekipy, z Pawłem Machciewiczem na czele. Na odwołaniu Machcewicza z funkcji dyrektora i przejściu muzeum (mocno popieranego przez premiera Tuska) bardzo zależało nowej władzy, szczególnie pochodzącemu z Trójmiasta wiceministrowi kultury Jarosławowi Sellinowi. To Sellin, jak sam się chwali, „wynalazł” Nawrockiego w gdańskim

Już na początku swoich rządów PiS dołożyło instytutowi nowe zadanie: opiniowanie pomników, tablic, nazw ulic i innych obiektów publicznych pod kątem ich zgodności z ustawą o zakazie propagowania komunizmu z 2016 r. W ten sposób rozpoczęła się najnowszy akt dekomunizacji – co z tego, że 30 lat po upadku PRL, gdy mało kto jeszcze pamięta, kim byli Leon Kruczkowski czy Wilhelm Szewczyk, pozbawiani swoich ostatnich ulic i placów (bo większości pomników i ulic prawdziwych komunistów pozbyto się już na początku lat 90., o czym nie chce się dziś pamiętać).

KAROL NAWROCKI – reformator z M2WŚ

Jarosław Szarek mógł zostać prezesem IPN także na drugą kadencję,

oddziale IPN i doprowadził do tego, że zastąpił on Machcewicza – mimo apeli ponad setki najwybitniejszych historyków z kraju i zagranicy, w tym profesorów Paczkowskiego, Friszkego, Dudka, Andrzeja Chojnowskiego (członka Kolegium IPN w czasach Kurtyki i Kamińskiego), a nawet Andrzeja Nowaka, który wraz ze znanym amerykańskim uczonym Timothy Snyderem oświadczył, że muzeum „w jego obecnej formie stwarzałoby wyjątkową szansę dla Polaków, by dowiadawali się o wojnie poza Polską, a dla zagranicznych zwiedzających – poznawania polskiej historii”.

Sellin i Nawrocki zignorowali jednak te głosy i doprowadzili do połączenia Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 (znajdującym się dopiero w stadium organizacji), a następnie – na podstawie krytycznych recenzji Jana Żaryna i prawniczej dziennikarza Piotra Semki, znanego ze skrajnie antyniemieckich poglądów – do przeprowadzenia „polonizacji” wystawy głównej M2WS, zwłaszcza wyeksponowania martyrologii polskiego Kościoła i pomocy Polaków w ratowaniu Żydów (w miejsce informacji o zbrodni w Jedwabnem).

Zamiana prezesa Szarka na prezesa Nawrockiego (23 lipca 2021 r.) niczego zatem nie odmieniła. Nadal fundamentem jest prawicowa wizja historii, oparta na skrajnym antykomunizmie w wersji Narodowych Sił Zbrojnych (przypomnijmy, że

była to jedyna formacja polskiego podziemia, która konsekwentnie wyznawała teorię „dwóch wrogów” – Niemców i Sowietów – a po pokonaniu Trzeciej Rzeszy wyczekiwała wybuchu III wojny światowej), i Solidarności Walczącej (niewielkiego środowiska, kierowanego przez ojca obecnego premiera, które uznawało Okrągły Stół i wybory czerwcowe za „zdradę narodową”, dlatego pozostawało w konspiracji do połowy 1990 r.).

W takiej wizji polskich dziejów nie ma miejsca na ukazanie kluczowej roli demokratycznych, nienacjonalistycznych i nieklerikalnych środowisk niekomunistycznych, począwszy od Armii Krajowej i WiN, poprzez PSL Mikołajczyka, Kluby Inteligencji

Moskwie. Odbiorcom ipenowskiej historiografii lewica ma się kojarzyć wyłącznie z „twarzami bezpieki” i powiatowymi urzędami bezpieczeństwa (które otrzymują kolejne monografie, niewiele wnoszące do naszej wiedzy o stalinizmie). Na pomnikach zaś mają stać nieskazitelni „żołnierze wyklęci” i niezłomni duchowni prześladowani przez komunistów.

Taka wersja historii niewiele ma wspólnego ze skomplikowaną rzeczywistością polskiego XX w., za to świetnie obsługuje interesy polityczne rządzącej prawicy. Nic dziwnego, że za jej rządów IPN może liczyć na hojne finansowanie. Wielce wymowny jest fakt, że w tegorocznym budżecie państwa przeznaczono na instytut 430 mln zł, podczas gdy na

W tegorocznym budżecie na IPN przeznaczono 430 mln zł, podczas gdy na całą Polską Akademię Nauk zaledwie 105 mln zł.

Katolickiej, „Tygodnik Powszechny”, KOR, KPN, po legalną i nielegalną Solidarność, których ostatecznym triumfem było odzyskanie trzeciej niepodległości i przywrócenie systemu demokratycznego. Tym bardziej nie ma miejsca na polską lewicę, która przecież w powojennym 45-leciu nie tylko „budowała system totalitarny”, ale też odegrała kluczową rolę w przemianach lat 1956, 1980-1981 i wreszcie 1989-1990, dzięki którym PRL stawała się państwem coraz mniej opresyjnym i podległym

całą Polską Akademię Nauk zaledwie 105 mln zł (dla porównania: w ostatnim budżecie za rządów PO, w 2015 r., na IPN wydano 249 mln zł, potem ta kwota jedynie rosta – o kilkadziesiąt milionów rocznie). Wskutek takiej hojności w ciągu ostatnich 22 lat państwo polskie wydało na IPN łącznie kilka miliardów złotych (tylko za obecnych rządów PiS ok. 2,5 mld zł) – znacznie więcej niż na jakąkolwiek inną instytucję naukową w Polsce. Czy było warto?

Paweł Siegiejczyk



46 zł 38 zł



44 zł 36 zł



45 zł 37 zł



43 zł 35 zł

KSIĄŻKI BEZ CENZURY
Historia bez IPN

Pakiet ~~178 zł~~ 130 zł

PRAWO DO PRAWDY

Kto robi z bandytów świętych?

Książki PRZEGLĄDU

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

WYSYLKA GRATIS

Czy Czarzasty chce łąpać wyborców, czy Tuska za nogi?

Podstawowy dylemat lewicy brzmi: osobno czy z Tuskiem. To rozpaczliwie mało

Robert Walenciak

Dziś, jeżeli coś słyszymy o lewicy, to spekulacje i pytania, czy będzie budowała wraz z Donaldem Tuskiem wspólną listę opozycji, czy nie. Inne sprawy są gdzieś na marginesie.

To rozpaczliwie mało, zwłaszcza gdy chodzi o formację mającą 44 posłów, wielomilionowy budżet, no i wiejący w plecy wiatr historii – bo coraz więcej tradycyjnych lewicowych postulatów jest akceptowanych przez większość Polaków.

Oczywiście posłowie Nowej Lewicy i Razem na taki zarzut odpowiadają, że ciężko pracują, czego dowodem są interpelacje i regularne konferencje prasowe. Nie kwestionują tego. Ale, po pierwsze, warto pamiętać, że posłowie mają pieniądze na biura poselskie i mogą w nich zatrudniać asystentów, którzy przygotowują większość spraw. Jest poza tym biuro klubu, są fundusze eksperckie... Interwencja poselska, interpelacja, udział w debacie to zwykła poselska praca. Po drugie – i na tym polega kłopot – nie widać, by te działania składały się w jakiś polityczny plan. Można wręcz odnieść wrażenie, że lewicowi posłowie tracą czas i środki na sprawy trzeciorzędne, a życie polityczne ich mija.

Potwór trzygłowy stracił zęby

To jest zresztą zarzut do szefów lewicy – bo oni odpowiadają za działania formacji. Tak się ułożyło, że lewica ma trzech liderów, jest więc potworem trzygłowym. O ile było to jej atutem na początku, o tyle teraz już nie jest. Robert Biedroń niemal zniknął. Od czasu wyborów

prezydenckich, w których osiągnął wynik Magdaleny Ogórek, jest co najwyżej połową dawnego Biedronia. Wygląda na to, że szczytem jego marzeń jest ponowny wybór do Parlamentu Europejskiego. Włodzimierz Czarzasty po niesławnej operacji „zjednoczenia” lewicy (o tym za chwilę) też jest połową dawnego siebie, już nie bryluje w wywiadach, ogranicza się do banałów. Adrian Zandberg, typowany na wielką gwiazdę, także gdzieś się rozpułnął. Już nie można o nim mówić, że młody zdolny, bo ten czas minął. Oczywiście Zandberg wciąż jest jednym z najciekawszych polityków obozu lewicy, ma najwięcej do powiedzenia, ale gdzie go można usłyszeć?

Są trzy teorie tłumaczące, dlaczego jest tak schowany. Pierwsza mówi,

Zandberg wciąż jest jednym z najciekawszych polityków obozu lewicy, ma najwięcej do powiedzenia, ale gdzie go można usłyszeć?

że to jego wybór. Po prostu woli święty spokój niż walkę w mediach. Parcia na szkło nie ma. Taki pogląd jest dość powszechny wśród dziennikarzy, którzy narzekają, że trudno zaprosić go do programu czy użyć jego wypowiedzi. Wedle teorii drugiej Zandberg jest ofiarą niechęci mediów mainstreamowych, które oplakietkowały go mianem marksisty, komunisty, lewaka i ekstremisty (do wyboru, do koloru). Wiadomo, media te oceniają lewicę z jednego punktu widzenia – czy jest posłuszna Platformie Obywatelskiej, czy nie. To stały nacisk, raz mniej, raz bardziej brutalny. Trzecia teoria głosi

z kolei, że Zandberg jest ofiarą nie mediów, lecz Włodzimierza Czarzastego, który mocno pilnuje, by Zandberga i innych razemowców za wiele w programach publicystycznych nie było. Za to możemy oglądać w nich w nadmiarze jako reprezentantów lewicy rzeczniczkę partii Annę Marię Żukowską i sekretarza generalnego Nowej Lewicy Marcina Kulaska. Które z tych przypuszczeń jest prawdziwe? Zapewne w każdym znajdziemy ziarno prawdy.

Czas milczenia

To wszystko jednak nie tłumaczy, dlaczego lewica, która na początku sejmowej kadencji imponowała świeżością, popadła w banał. Chyba że wszystko zwalimy na... Tuska.

Donald Tusk wrócił do polskiej polityki, gdy Platforma spadła w sondażach do poziomu kilkunastu procent poparcia, i w stosunkowo krótkim czasie wydzwignął ją na główną siłę opozycji. Przede wszystkim dał swojej partii wiarę, że kieruje nią wytrawny polityk. Zaczął też oskubywać inne partie opozycyjne z potencjalnych wyborców. W najprostszym możliwym sposobie – podbierając im hasła, sugerując konszachty z PiS.

Lewica jest w tej grze celem. I trzeba przyznać, że dość łatwym. Gdy w kwietniu 2021 r. zdecydowała się poprzeć PiS, by Sejm przyjął Krajowy Plan Odbudowy, wystrzeliła



w nią cała platformerska artyleria. Nie dlatego, że lewica poparła KPO (PO chciała być przeciw, a ironią historii jest, że tych pieniędzy do tej pory nie mamy). Chodziło o to, że Włodzimierz Czarzasty zdecydował się zawrzeć w tej sprawie pisemną umowę z PiS i negocjował ją z Michałem Dworczykiem. Że zawierano jakiś układ.

Parę miesięcy później, w lipcu 2021 r., do polskiej polityki wrócił Donald Tusk i gra z lewicą nabrała tempa. Oto bowiem w ostatnich miesiącach Platforma dokonała potężnego zwrotu w lewo, przynajmniej werbalnie, a Czarzasty ani Zandberg nie potrafili na to odpowiedzieć. Bo trudno słowa Zandberga – „Dobrze, że Tusk czyta program partii Razem” – uznać za jakąś ripostę.

Tusk tymczasem zdążył ogłosić, że na listy wyborcze Koalicji Obywatelskiej nie wpuści nikogo, kto będzie przeciw prawu kobiety do aborcji („To kobieta decyduje, a nie ksiądz!”, wołał). Zapowiedział, że do wyborów Platforma będzie miała przygotowany precyzyjny projekt pilotażu czterodniowego tygodnia pracy. I w przyszłości będzie chciała go wprowadzić. Napomknął również o siedmiogodzinnym dniu pracy oraz 20-procentowej podwyżce dla budżetówki. PO złożyła także projekt

ustawy o refundacji in vitro. Przy tej okazji Tusk postawił ultimatum innym partiom opozycyjnym: do końca listopada muszą zadeklarować, czy chcą iść do wyborów na wspólnej liście, czy nie.

Do tego Tusk ma wokół siebie ludzi kojarzonych z lewicą: Barbarę Nowacką, Katarzynę Piekarską, Zielonych, wspierają go europosłowie Leszek Miller, Marek Belka i Włodzimierz Cimoszewicz, blisko PO jest sejmowe koło PPS...

Mamy zatem pole starcia. I niech nikogo nie zwiodą miłe uśmiechy i poklepywanie po marynarkach. Aż prosi się zadać w tej sytuacji pytanie, dlaczego liderzy lewicy są tak bierni. Postawmy tezę: może nie mają zbyt wiele do powiedzenia?

Zjednoczenie, czyli zwężenie

O tym już wspominałem – na początku sejmowej kadencji lewica imponowała świeżością, jej głos był słyszany. Fakt, że składała się z trzech różnych ugrupowań, przyjmowano jak najlepiej. Że to dowód umiejętności dogadywania się jej liderów. I że to scalenie trzech różnych pokoleń, różnych wrażliwości lewicy. Razem reprezentowała młodzież, najbardziej lewicowo radykalną, Wiosna – średnie pokolenie,

Czy Adrian Zandberg jest ofiarą mediów mainstreamowych, czy Włodzimierza Czarzastego?

liberalne, SLD – wyborców najstarszych, broniących życiorysów ludzi Polski Ludowej.

Ten trójpodział był szansą na zbudowanie nowoczesnej lewicy, z różnymi skrzydłami. Takiej jak w Europie Zachodniej. Tymczasem mieliśmy ewolucję w zupełnie innym kierunku. Kto sądził, że w obozie lewicy rozgorzeją dyskusje, polemiki, że będzie iskrzyć od pomysłów, mocno się rozczarował. Skoncentrowano się na zacieraniu różnic.

Dopełnieniem tej tendencji było ubiegłoroczne „zjednoczenie” SLD i Wiosny. Włodzimierz Czarzasty przeprowadził je w sposób skandaliczny, zawieszając wszystkich tych, którzy nie chcieli mu się podporządkować. W efekcie wielu działaczy albo z lewicy odeszło, albo zostało wyrzuconych. A nowa partia stała się w zasadzie prywatną partią Czarzastego (bo według statutu nie można go odwołać). To on decyduje o kształcie list wyborczych, o tym, kto na nich może być. Jego siła polega więc nie na intelektualnej przewadze, ale na obietnicach posad.

Trudno się spodziewać, by tak skonstruowana organizacja była zdolna do intelektualnych fajerwerków. W efekcie w Nowej Lewicy wszystko opiera się na paru głowach – Włodzimierza Czarzastego, Anny Marii Żukowskiej i Marcina Kulaska. Nie dziwny się zatem, że są oni bezradni w trudniejszych momentach. Nagle więc Żukowska mówi językiem „Gazety Polskiej”, że nie wolno przyjmować uciekinierów z Rosji, bo to agenci Putina. A poseł Tomasz Treła troska się najmocniej o los przedsiębiorców, bo PiS zaczęło przebąkiwać, że obłoży ich nadzwyczajne zyski, powyżej 20%, 50-procentowym podatkiem. To wypowiedzi z ostatnich dni. Ale przecież występów świadczących o tym, że liderzy lewicy nie mają własnego zdania, tylko powtarzają to, co usłyszeli albo w TVP Info, albo w TVN 24, jest mnóstwo.

I tak samo są bezradni, gdy pojawia się Tusk. I gdy rzuca on idee jednej listy.

► Jedna lista, jeden wódz

Idea jednej listy nie jest nowa, opozycja testowała ją, bez powodzenia, podczas wyborów europejskich w 2019 r. Wraca ona z dwóch powodów. Po pierwsze, system liczenia głosów według metody D'Hondta oraz względnie małe okręgi wyborcze preferują duże ugrupowania, dając im nadzwyczajną premię. Po drugie, wspólna lista politycznie wzmacnia partię najsilniejszą i jej lidera – bo to on de facto występuje jako lider całości. Hasło wspólnej listy jest pomysłem na to, by liderzy mniejszych ugrupowań zaciągnęli swoich wyborców pod sztandary PO.

Ale jedna lista ma też wady. Nikt tego nie policzył, jednak wiadomo, że

Siła Czarzastego polega nie na intelektualnej przewadze, ale na obietnicach posad.

część wyborców na taką listę głosu nie odda, zostaną w domu. Są wyborcy lewicy, którzy nigdy nie zagłosują na liberałów z PO, są wyborcy PO, którzy nie poprą „komuny”... Tak było w wyborach europejskich.

Wspólna lista nie jest więc prostą sprawą. Co widać zresztą po tym, jak reagują na ten pomysł Czarzasty i Zandberg. Czarzasty – kluczy. Podczas konferencji poświęconej bezpieczeństwu Polski, organizowanej przez Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego, wprawił wszystkich w zdumienie, ogłaszając: „Opozycja jest dogadana, wspólnie planuje przyszłość, stworzy rząd i nie da się skłócić”.

Te słowa szybko zostały sprostowane, m.in. przez Szymona Hołownię, że nic nie jest dogadane. Ale cel komunikatu Czarzastego był konkretny. „Opozycja stworzy rząd”, ogłosił, tym samym dając działaczom swojej partii do zrozumienia: trzymajcie się mnie, ja będę z Tuskiem negocjował i to ja będę decydował, co komu dam. W ten sposób chce się legitymizować, jako dystrybutor konfitur, w roli lidera lewicy.

Taki komunikat dla ludzi znających Czarzastego nie jest zaskoczeniem. Przypominają, jak wiele lat temu

walczył z Katarzyną Piekarską o stanowisko szefa mazowieckich struktur SLD. Na jedno z ważnych spotkań z działaczami przyjechał wtedy z plikiem kartek i rozdał je zebranym, żeby wypełniali. Były to deklaracje kandydatów do rad nadzorczych spółek skarbu państwa. Można je było pobrać ze strony internetowej ministerstwa. Ale chodziło o gest – że oto jest człowiek, który będzie takie sprawy załatwiał. Piekarska przegrała paroma głosami.

Można rzec, że trik z takim nic nieznaczącym kwitem okazał się skuteczny. Ale była to skuteczność ograniczona do małej grupy. Wyborców na takie chwytły się nie łąpie. Oni wymagają czegoś innego. Czegoś, czego lewica się wyżyła. Tylko czy

Czarzasty chce łąpać wyborców, czy Donalda Tuska za nogi?

A Zandberg? Gdy Czarzasty ogłaszał, że wszystko jest dogadane, on w wywiadzie dla „Super Expressu” mówił coś dokładnie przeciwnego: „Najwyższy czas przestać męczyć ludzi tymi rozważaniami o listach. Myślę, że jest już jasne, że żadnej jednej listy, mówiąc obrazowo – od Biedronia do Gowina – nie będzie. Najbardziej prawdopodobny wariant będzie wyglądać tak, że z jednej strony będzie lista zjednoczonej lewicy – socjaldemokratów, socjalliberałów i socjalistów, z drugiej strony Platforma Obywatelska, która, jak ptaszki śpiewają, chce wystartować sama, no i pewnie jakiś trzeci blok prawicowo-konserwatywno-demokratyczny”. Dodał jeszcze, że czas „zacząć rozmawiać o tym, jak ma wyglądać Polska po rządach PiS”. Śluszne słowa, tylko co dalej? On też kieruje komunikat do swoich, do działaczy Razem. I mówi im, że kapitulacji wobec liberałów nie będzie. Oni pewnie się cieszą... I ja to rozumiem. Choć nie jestem pewien, czy wiedzą, jak to wszystko będą tłumaczyć wyborcom.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Brak polityki wobec rodzimego przemysłu farmaceutycznego zagraża bezpieczeństwu nas wszystkich. Opublikowany 26 września br. raport „Farmaceutyczny wyścig narodów” przygotowany przez dr Katarzynę Obłąkowską i dr. Artura Bartoszewicza z Instytutu Nowej Europy przy współpracy z Polskim Związkiem Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego – Krajowymi Producentami Leków powinien wstrząsnąć politykami i społeczeństwem.

Wynika z niego, że zaledwie ok. 30% leków dostępnych w aptekach produkowanych jest nad Wisłą, a udział polskiego przemysłu farmaceutycznego w rynku światowym to żałosne 0,25%.

W ostatnich 30 latach nasz kraj został skolonizowany przez wielkie europejskie i amerykańskie koncerny, które są w stanie wyprodukować wszystko. A uzależnienie od zachodnich dostawców ma czasem przykre efekty. Zwłaszcza że nawet największe międzynarodowe koncerny kupują substancje czynne od chińskich producentów. W przeszłości prowadziło to do braków niektórych leków na rynku europejskim.

Klasycznym przykładem jest produkcja chlorowodoru metforminy, niezbędnego składnika leków na cukrzycę. Gdy kilka lat temu w Chinach z powodów technicznych stanęły fabryki produkujące tę substancję, europejscy pacjenci znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji.

Pandemia COVID-19 z całą mocą ujawniła, jak bardzo nie tylko nasz kontynent zależny jest od dalekowschodnich producentów substancji czynnych będących podstawą produkcji ważnych leków. Dziś coraz więcej państw rozumie, że taka zależność, szczególnie w czasie kryzysów, jest niezwykle ryzykowna. Polska pod tym względem nie jest wyjątkiem.

Co gorsza, rodzime firmy, które mają linie produkcyjne nad Wisłą, są w mniejszości wobec firm zagranicznych. Spośród 40 obecnych w Polsce największych producentów leków jedynie sześciu to polskie spółki, do których należy zaledwie

Lekowa zapaść

Zaledwie około 30% leków dostępnych w aptekach jest produkowanych nad Wisłą



Mabion miał we współpracy z amerykańską firmą Novavax produkować szczepionkę przeciw COVID-19. Nic z tych planów nie wyszło.

12% wartości krajowego rynku farmaceutycznego. Ocenia się, że w całości jest on wart ok. 38,3 mld zł, lecz raptem 11,46 mld zł to wartość leków wyprodukowanych i sprzedanych w Polsce. Czy powinniśmy się martwić z tego powodu? Autorzy raportu są przekonani, że tak.

W ognie innowacji

Według European Innovation Scoreboard – rankingu innowacyjności w krajach UE – Polska wraz ze Słowacją, Rumunią, Bułgarią i Chorwacją należy do grupy wschodzących innowatorów. Mówiąc po ludzku, od lat włączamy się w innowacyjnym, naukowym i rozwojowym ognie Europy. I to mimo pozyskania od roku 2004 miliardów euro unijnej pomocy przeznaczonej na badania i rozwój.

Dzięki owemu wsparciu budowano parki technologiczne, centra innowacyjności i „Doliny Krzemowe” na poziomie Pacanowa. A politycy śnili o „polskiej Nokii”.

Łatwo było przewidzieć, że te centra i parki będą żyły nie z wynalazków i nowoczesnych technologii, ale z wynajmu pomieszczeń na biura. Tak też się stało, o czym swego czasu informowali w jednym z raportów inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli.

Na tym tle sytuacja polskich firm farmaceutycznych nie wygląda dramatycznie źle. Większość państwowych spółek w latach 90. sprywatyzowano. Ostała się jedna duża firma – Polfa Tarchomin, która dzisiaj, dzięki hojnemu rządowemu wsparciu, wzbogaca swoje linie technologiczne o nowoczesne rozwiązania. Choć szumnie zapowiadana w 2021 r. przez wicepremiera Jacka Sasina rozlewnia szczepionek, na którą miało pójść 200 mln zł, nie powstała.

Dwa lata temu produkcją wyrobów farmaceutycznych zajmowało się w Polsce 491 firm, w tym 489 prywatnych. Największym prywatnym rodzimym producentem jest Polpharma mająca ok. 6-7% udziału w rynku. Na drugim miejscu znalazł się Adamed z ok. 2-2,5% udziału.

Kolejne krajowe spółki to Hasco-Lek, Biofarm, LEK-AM oraz Polfarmex.

Oznacza to, że nasze bezpieczeństwo lekowe jest uzależnione od zagranicznych przedsiębiorstw. Nasz kraj pod tym względem znajduje się na 23. miejscu na świecie, wyprzedzając Rosję.

Pod koniec roku 2019, gdy mówiono w Europie o kryzysie lekowym, w kraju zabrakło 50 istotnych specyfików. Według oficjalnych danych w połowie sierpnia br. zabrakło zaś nowoczesnych leków stosowanych przy terapii cukrzycy (Ozempic, Trulicity, Victoza) oraz redukcji masy ciała (Saxenda). Dokuczliwe dla pacjentów były również niedobory leków przeciwnadciśnieniowych.

Część specyfików można byłoby produkować w kraju, lecz wobec konkurencji ze strony firm dalekowschodnich nie jest to opłacalne. Rząd nie robi nic, by zmienić tę sytuację. Nad Wisłą działają też spółki, które, zapowiadając opracowanie nowych leków lub odpowiedników znanych farmaceutyków, nauczyły się korzystać z państwowych i unijnych dotacji. Firmą, z którą wiązano wielkie nadzieje, jest Mabion SA. Spółka kilka lat temu opracowała lek o roboczej nazwie MabionCD20 – preparat biopodobny do farmaceutyku MabThera/Rituxan (Rituximab) produkowanego przez koncern Roche. To specyfik stosowany m.in. w terapii chłoniaków nieziarniczych, a także przewlekłej białaczki limfocytowej. Dzięki niemu koncern Roche zarabia na świecie miliardy dolarów. Uszczknięcie choć części tego tortu byłoby dla polskiej firmy wielkim sukcesem.

Historia prób rejestracji MabionCD20 w Europejskiej Agencji Leków (EMA) to prawdziwa epopeja z gwałtownymi zwrotami akcji, lecz bez happy endu. Pierwszy wniosek o rejestrację i dopuszczenie leku do obrotu polska spółka złożyła 1 czerwca 2018 r. Potem był kolejny wniosek z 6 maja 2019 r. Gdy okazało się, że sprawy nie idą zgodnie z oczekiwaniami, w połowie marca 2020 r. Mabion poinformował, że zmienia strategię regulacyjną i planuje po raz trzeci złożyć wnioski do EMA. Na przełomie lutego i marca 2021 r. polska spółka ogłosiła nawiązanie

► współpracy z amerykańską firmą Novavax – jak wówczas informowały media – w związku z planowaną produkcją szczepionki przeciw COVID-19. Na Facebooku radość z tego faktu wyraził premier Mateusz Morawiecki, a Polski Fundusz Rozwoju zapowiedział wsparcie spółki kwotą nawet 40 mln zł.

W efekcie notowania akcji Mabionu z poziomu 21-22 zł wystrzeliły do ponad 90 zł. Zbiegło się to w czasie z emisją kolejnej transzy akcji, która przyniosła firmie 133,7 mln zł i znacząco poprawiła jej długoterminową sytuację finansową.

Gdy po kilku miesiącach okazało się, że Amerykanie mają problemy z uruchomieniem produkcji swojej szczepionki oraz uzyskaniem akceptacji ze strony Food and Drug Administration, notowania akcji Mabionu

EuroAPI, której celem jest uniezależnienie Europy od dostaw substancji aktywnych pochodzących z innych regionów świata, głównie z Azji. API to substancje farmaceutyczne będące aktywnym składnikiem leków. W Polsce największym ich producentem jest Polpharma, wytwarzająca w zakładzie w Starogardzie Gdańskim 42 takie substancje. Na świecie największym producentem API są koncerny chińskie. Francuzi zakładają, że wkrótce staną się największym na świecie producentem małowcząsteczkowych aktywnych składników leków. Chcą uniezależnić rynek europejski od dostawców chińskich i indyjskich. Produkcja API ma się odbywać w sześciu zakładach na terenie Europy – w Niemczech, we Francji (dwa zakłady), w Wielkiej Brytanii, we Włoszech i na Węgrzech. W EuroAPI

jeszcze trudniejsze, gdyż poza koncernem Sanofi do rywalizacji przystąpią inne wielkie europejskie firmy farmaceutyczne. Nie bez powodu liczące na hojne wsparcie ze strony czy to Komisji Europejskiej, czy poszczególnych państw. Kryzys wywołany pandemią oraz wojna w Ukrainie sprawiły, że znikło zaufanie do dostawców z odległych krajów i dziś każdy będzie się ratował na własną rękę.

Jak CHIPS and Science Act

Na początku sierpnia br. prezydent USA Joe Biden podpisał ustawę CHIPS and Science Act, popularnie nazywaną ustawą chipową. Jej zadaniem jest stworzenie w Stanach Zjednoczonych sprzyjających warunków do zbudowania i uruchomienia produkcji nowoczesnych półprzewodników i mikroprocesorów. Ustawa ma uruchomić ulgi podatkowe i subsydia przeznaczone na budowę nowych zakładów produkujących układy scalone. Co więcej, ponad 170 mld dol. zostanie przeznaczona na badania i innowacje. Administracja prezydenta Bidena liczy, że dzięki szacowanemu na prawie 300 mld dol. programowi ulg podatkowych i subsydiów na produkcję oraz badania i innowacje w obszarze mikroelektroniki Stany Zjednoczone nie tylko uniezależnią się od dalekowschodnich producentów, ale też wyjdą na prowadzenie w tej dziedzinie i umocnią się na pozycji lidera technologicznego.

Polski Związek Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego – Krajowi Producenci Leków uważa, że rząd powinien przygotować podobny program dla firm farmaceutycznych. Dzięki temu nie tylko poprawiłoby się bezpieczeństwo lekowe kraju, ale również ta gałąź przemysłu uzyskałaby silny impuls rozwojowy. Moglibyśmy liczyć na powstanie nowych, dobrze opłacanych miejsc pracy dla rodzimych specjalistów. Zyskałyby także nasze instytuty badawcze. Idea jest słuszna. Trudno mówić o trwałym wzroście gospodarczym, jeśli nasza gospodarka nie stanie się bardziej nowoczesna. Szkoda, że nic nie wskazuje na taką zmianę.

Marek Czarkowski

Dwa lata temu produkcją wyrobów farmaceutycznych zajmowało się w Polsce 491 firm, w tym 489 prywatnych.

najpierw się uspokoiły, po czym zaczęły spadać. W ostatnich tygodniach wróciły do poziomu sprzed ponad roku. I to mimo informacji, że współpraca z firmą Novavax będzie kontynuowana. Cóż, branża farmaceutyczna i biotechnologiczna bywają ryzykowne dla inwestorów.

Moim zdaniem pompowanie ogromnych środków w rodzime firmy czy modne w ostatnich latach start-upy, które obiecują opracowanie przełomowych leków, jest bezcelowe. Musimy pamiętać, że koszt opracowania jednego nowego leku sięga ponad 2 mld dol. Oznacza to, że jest ponad pięć razy większy niż roczne wydatki na badania i rozwój całego polskiego sektora farmaceutycznego.

Jeśli dodamy do tego brak polityki rządowej dotyczącej branży farmaceutycznej, stanie się jasne, że w obecnych warunkach krajowi producenci leków nie mogą liczyć na wiele.

Francuski pomysł na niezależność

W lutym ub.r., nie bez wsparcia rządu francuskiego, koncern Sanofi ogłosił uruchomienie spółki o nazwie

ma pracować ponad 3 tys. pracowników o wysokich kwalifikacjach, a centrala firmy znalazła się nad Sekwaną. Rząd francuski kupił za 150 mln euro 12% udziałów w firmie. To dobry interes, koncern Sanofi dysponuje aktywami o wartości 142,3 mld dol., co stanowi ponad połowę wartości całego francuskiego sektora farmaceutycznego, więc ryzyko utraty środków jest niewielkie.

Autorzy raportu podają francuską inicjatywę jako przykład przemyślanej i długofalowej polityki, której celem, z jednej strony, jest uniezależnienie europejskiego przemysłu farmaceutycznego od dalekowschodnich dostawców, z drugiej zaś, zapewnienie francuskiemu koncernowi dominującej pozycji nie tylko w Europie, ale i na świecie.

Polska w tym wyścigu się nie liczy. Produkcja substancji czynnych to trudny, konkurencyjny rynek, a w naszym kraju liczba dostawców surowców i półproduktów wykorzystywanych do wytwarzania API jest bardzo ograniczona. W efekcie Polpharma jest niewielkim graczem, który musi konkurować ze znacznie większymi podmiotami. W przyszłości będzie to